ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Lipca. № 30. Roku 1856.

JAŁMUŻNA.

Byłoto w jednym z najokazalszych gmachów warszawskich, znacznie już po północy. Piękna nowo zamężna dawno już czekała w sypialni. Nareszcie pan młody zdoławszy się wymknąć swym przyjaciołom i ujść z dolnej sali balowej, wbiegł na górę po wschodach, na których ostatnim stopniu stała pokojowa przy drzwiach samych.

— Chodź pan, rzekła Anna cichym głosem — pani oczekuje pana.

Nowożeniec zapukał z lekka, i rzucił się do nóg kobiety, która czekała na niego rzeczywiście, siedząc niedaleko kominka, w eleganckim stroju młodej wdowy, zadowolonej z nowych ślubów małżeńskich.

— Wstań Auguście, rzekła do swego męża, wyciągając ku niemu rękę.

— O, nie! pani, — odparł młody człowiek, chwytając jej białą rękę, i okrywając ją pocałunkami. Pozwól mi zostać tak u nóg twoich, i nie odbieraj mi twej ręki, bo lękam się żebyś mi nie znikła; lękam się, żeby to wszystko nie było złudzeniem. Zdaje mi się, że jestem bohaterem jednej z tych czarodziejskich bajek, któremi mię do snu kołysano w dzieciństwie, i że w chwili kiedy zacznę być na dobre szczęśliwy, złośliwa wróżka uleci, żeby się naśmiać dowoli ze swemi towarzyszkami z moich cierpień i rozpaczy.

— Bądź dobrej myśli mój drogi! Wczoraj byłam wdową po panu Senatorze; dzisiaj jestem panią Augustową, twoją żoną. Porzuć więc myśli o wróżkach, które cię straszyły w dzieciństwie; bajka stała się dziś prawdziwą historyą.

Pan August miał poniekąd przyczynę myśleć, że jakieś siły nadziemskie wmieszały się w jego sprawy, gdyż od miesiąca przypadek czy los jakiś przyjazny, uczynił go tak bogatym i szczęśliwym, jak nigdy nie śmiał nawet zamarzyć. Miał on dwadzieścia pięć lat, był sierotą, i miał posadę w ministeryum, która mu zaledwie na skromne utrzymanie wystarczała. W tem, jednego dnia gdy przechodził ulicą Wiślną, bogaty ekwipaż zatrzymał się przed nim, i dama z największą elegancyą ubrana, wychyliła się z niego i poczęła nań wołać:

— Panie... Panie!....

Strzelec zeskoczył, odłożył stopień pojazdu, i trzymając w ręce kapelusz z piórami, z wielkiem uszanowaniem zaprosił Augusta, aby zajął miejsce obok tej damy błyszczącej od drogich kamieni. Zaledwie usiadł, konie ruszyły galopem.

Wtedy osoba, która go w tak dziwny sposób porwała z sobą, przemówiła do niego słodkim głosem:

— Odebrałam list pański, ale mimo wyczytanego w nim odmówienia, nie tracę jednak nadziei widzenia pana u siebie na jutrzejszym wieczorze.

— Mnie pani?!...

— Tak jest, pana....

Wtem naraz zdziwiona zawołała: Ah! daruj pan! daruj! Ale tak jesteś podobny do jednej z znajomych mi osób, że powzięłam pana za niego... Ah! chciej mię pan wytłómaczyć... Mój Boże! co pan o mnie pomyślisz!.. Ależ podobieństwo jest tak uderzające, że każdy mógłby się omylić...

Zanim się te wymówki skończyły, pojazd zatrzymał się na dziedzińcu wspaniałego hotelu, a pan August nie mógł nic lepszego zrobić, jak podać rękę nadobnej Senatorowej, która w niczem nie była podobna do owych kwaśnych, niedbale na świat spoglądających pań, jakie widywał niekiedy za szkłami karecianemi. Pani Senatorowa była żywą, uprzejmą, niezwyczajnie piękną brunetką. — Przy czarnych włosach cudnie odbijała jej płeć biała jak lilia, a zpoza warg wiśniowych widać było dwa rzędy pereł, które zdobiły jej usta. August olśniony tylu wdziękami, z łatwością popadł w jarzmo, i błogosławiąc szczęśliwemu wypadkowi, któremu winien był znajomość z panią Senatorową, przyjął jej zaprosiny, i wkrótce stał się najczęstszym gościem w jej domu. Bogata wdowa otoczona była wielbicielami; ale tych oddalono niebawem jednego po drugim, a okoliczności tak się jakoś zło-

żyły, że po upływie tygodnia, biedny urzędnik był już po formalnych zaręczynach z bogatą wdową. Ona pierwsza wszczęła była mowę o tem małżeństwie.

August będąc sam w swoim pokoju, siadał często przed małem zwierciadełkiem, i przypatrywał się sobie z uwagą: nie był brzydki, ale też bardzo pięknym zwać się nie mógł; toaleta jego była skromna, zwyczajnie jak urzędnika z pensyą tysiąca ośmiuset złotych, nie mógł więc szczęścia swego zawdzięczać swemu krawcowi; musiał tedy zostać w tem przekonaniu, że albo go kochają dla ni go samego, albo że jego przyjaciółka zostaje pód wpływem jakichś czarów czy uroku. Gdy małżeństwo zostało już ułożone, i przyszło do ostatnich kroków przedślubnych, podwoiło się jego zadziwienie: uczyniono go dziedzicem pół miliona. Wedle słów nadesłanego mu wówczas zapisu pani Senatorowej, miał on posiadać kilka wsi w Litwie, kilka pod Moskwą, pałac w Warszawie, dom w Wilnie, dworek w Charkowie, i Bóg wie co jeszcze więcej. Bogata wdowa miała krocie do dyspozycyi. Byłto dla Augusta sen złoty, z którego lękał obudzić się lada chwila. Proboszcz u św. Wawrzyńca uświęcił jego związek, ale nawet obrzędy religijne nie były dosyć silne, żeby rozproszyć wszystkie jego obawy, i dla tegoto niechciał wstać od nóg swojej żony, i ściskał haftowany muślinek jej nocnego kaftanika, bojąc się żeby piękny sen nie pierzchnął.

— Wstań mój Auguście, rzekła powtórnie żona — Przybliż sobie ten fotel do mojego — Pogadamy....

Młody człowiek stał się wreszcie posłusznym temu żądaniu, nie puszczając jednak rąk swej żony, a pani Augustowa w ten sposób zaczęła pogadankę:

— Onego czasu była....

— Ha! mój Boże! — zawołał August, więc ja się przecież nie omyliłem! Otoż jakaś powieść o wróżkach!,.

— Ależ posłuchaj mię przecież mój drogi... Onego czasu była pewna młoda dziewczyna, córka rodziców niegdyś bogatych, ale którzy w czasie gdy ona miała lat pietnaście, za całe utrzymanie mieli tylko pracę, i przemysł ojca rodziny. Mieszkali oni w Radomiu — ale niewiem jaka zwodnicza nadzieja poprawienia losu, spowodowała ich, że się przenieśli do Warszawy. Niemasz nic trudniejszego na świecie jak odzyskanie straconego majątku, albo towarzyskiego stopnia, z którego się raz zeszło, a doświadczył tego ojciec owej dziewczyny. Przez cztery lata walczył z przeciwnościami i nędzą, nie mogąc ich zwyciężyć. Nareszcie umarł w szpitalu.

Matka niedługo poszła za mężem, a dziewczyna została sama na poddaszu, z którego czynsz niebył zapłacony, a w którem nic nie widziała, prócz dwóch próżnych tapczanów. Gdyby jaka wróżka wchodziła do mojej powieści, tu byłoby miejsce i chwila, w którychby się ukazać była powinna. Ale nie było jej. Dziewczyna została sama, bez rodziców, bez przyjaciół, bez opiekunów, bez utrzymania, z długami których nie miała czem płacić, i nadaremnie od nieznanych sobie osób żądając pracy, jedynego majątku biednych. Wprawdzie występek wyciągał do niej ręce; ale są dusze tak poczciwie od Boga usposobione, że przejdą koło występku nie pożądawszy go, albo przynajmniej umieją się oprzeć jego podszeptom.

A przecież potrzeba było żyć. Głód całodzienny podwajał się wieczorem, a śród bezsennych nocy straszliwe dokuczały boleści.... Auguście! odszedłeś dopiero od stołu, który uginał się pod ciężarem wykwintnych potraw, na którym wina szampańskie lały się strumieniami; a chociaż od wczoraj dopiero jesteś bogaty, niemasz jednak wyobrażenia o nędzy, o jakiej teraz ci mówię, i dziwisz się zapewne, że śród zbytku otaczającego nas tutaj na tych fotelach, powleczonych adamaszkiem i złotem stawiam ci taki obraz przed oczy. Ale posłuchaj mię dalej. Głód zmusił biędną dziewczynę do żebractwa. Okryła głowę zasłoną, jedyną spuścizną po swojej matce; zgarbiła się żeby sobie nadać pozór starości, i wyszła na ulicę. Tam wyciągnęła rękę. Ale niestety! ręka ta była biała i różowa, młoda i pulchna jeszcze: niebezpiecznie było ją pokazywać. Biedaczka owinęła więc rękę w szmat tej samej grubej zasłony, jak gdyby szkaradnym trądem była pokryta.

Biedne dziecko stanęło pod ścianą, zdala od rewerberu przy jakimś sklepie wytworności i mody, a gdy przechodziła jaka szczęśliwsza od niej dziewczyna, ona wyciągała rękę, i żebrała jej litości, prosiła o grosz na odrobinę chleba. Ale dziewczęta przechodzące około sklepu modnego mają zanadto czemś innem głowę zajętą, ażeby mogły widzieć ubogich. Gdy nadchodził jaki starzec, żebraczka ośmieliła się prosić go także. Ale starość częstokroć bywa skąpa i twarda; starzec szedł dalej. Wieczór był zimny i dżdżysty, noc się zbliżała, a patrole, stróże nocni

i sierżanci miejscy poczęli rozchodzić się po bruku, gdy biedna dziewczyna, upadająca z głodu, wyciągnęła jeszcze raz rękę. Tą razą udała się z prośbą do jakiegoś młodego człowieka, który zatrzymał się, sięgnął do kieszeni i rzucił jej pieniądz, jak gdyby bał się nawet dotknąć tej nędzy. Policyant, który czyhał widać na żebraczkę, ukazał się w tej chwili, i kładąc rękę na ramieniu dziewczyny rzekł:

— Aha! mam cię ptaszku! złapałem cię na żebraninie! no, marsz do kozy moja śliczna!

Wtedy przybył jej z żywością na pomoc ów młody człowiek, wziął zebraczkę za rękę, której wprzódy bał się dotknąć przez rękawiczkę, i obracając się do policyanta rzekł:

— Ta kobieta nie jest żebraczką — ja ją znam.

— Ależ panie... chciał coś mówić dalej przestrzegacz porządku ulicznego.

— Powtarzam panu, że znam tę panią... Biedna kobicto, mówił dalej schylając się do ucha dziewczyny, którą miał za staruszkę, weź tę złotówkę, i pozwól że cię odprowadzę na sąsiednią ulicę. Tym sposobem unikniesz twojego przesiadowcy.

Złotówka prześlizneła się z twojej ręki do mojej — mówiła dalej dzisiejsza pani Augustowa, a gdyśmy przechodzili około rewerberu, od którego przedtem trzymałam się zdaleka, ujrzałam twoją twarz...

— Moją twarz!...

— Tak jest mój drogi. Ja byłam tą, której ocaliłeś życie, a może honor... Dałeś złotówkę pani Senatorowej — twojej przyszłej żonie.

— Jakto! zawołał August, ty, tak młoda, tak piękna, tak bogata, ty, byłaś tą żebraczką!

— Tak jest mój drogi. I dostałam jałmużnę, jedyną w życiu, a ta jałmużna była od ciebie. Nazajutrz po tym dniu fatalnym, który dzisiaj liczę do najszczęśliwszych w mojem życiu, pewna zacna staruszka, ulitowawszy się nademną, umieściła mię jako szwaczkę u jednej z pierwszych modniarek, bardzo poczciwej kobiety. Z pracą powróciła mi wesołość. Stałam się przyjaciółką mojej mistrzyni. Jednego dnia wszedł do pokoiku w którym pracowałam jakiś pan orderowy, i usiadł przy mnie. Byłto człowiek sześćdziesiecioletni, wysoki, chudy, zimnej fizyognomii.

— Moja kochana panienko! — rzekł do mnie, nieco cudzoziemskim akcentem. Znam twoję historyą, wiem że jesteś uczciwą; podobałaś mi się; chciałbym się z tobą ożenić.

— Pan ze mną! zawołałam.

— Tak jest; — mam ogromne dobra w Litwie i w Rossyi — a żadnych prawie krewnych. Mam podagrę, a nie chcę żeby mię pielęgnowali słażący. Jeżeli prawda co mi o tobie opowiadano, masz piękną duszę i dobre serce. Od ciebie więc tylko zależy zostać Senatorową, i dowieść że równie dobrze potrafisz używać szczęścia, jakieś umiała znosić nieszczęście.

— Kochałam cię Auguście, mówiła dalej młoda kobieta. Raz cię tylko widziałam, a niepodobna mi było zapomnieć twoich rysów, i jakiś głos wewnętrzny powiadał mi, żeśmy byli przeznaczeni dla siebie. Zresztą twarz pana Senatora była tak dziko melancholiczną, spojrzenie jego tak bystre i prawie chytre, że pewna byłam, iż małżeństwo ze mną było tylko rodzajem niechęci ku otaczającemu go światu, i wstręt mię porywał na myśl, że mogę się stać jej narzędziem. Chociaż więc nie odmówiłam wprost mojemu panu orderowemu, spostrzegł on jednak moje oburzenie; a ponieważ nic ludzi tak nie zapala jak przeszkody, podwoił swoje nalegania.

Osoby które mię otaczały, radziły mi korzystać z zamysłu możnego cudzoziemca, po którym przynajmniej część kolosalnej fortuny miała do mnie z czasem należyć. Ja myślałam o tobie; stroiłam rysy twoje we wszystko co mi poddały wyobraźnia i pamięć, i o mało przelotny obraz człowieka, którego tylko raz w życiu i to na chwilę widziałam, a który nigdy mojej twarzy nie widział, o mało mówie nie pozbawił majątku mnie i ciebie Auguście. Jednakże za nadto ostrą przebyłam szkołę, żebym miała była pozwolić tym romantycznym myślom wziąć górę nad rozumem. Młoda wyrobnica odłożyła obraz twój na stronę, i została panią Senatorową.

Była to prawdziwie czarodziejska powieść, mój drogi! Ja, biedna, opuszczona, sierota, zostałam żoną jednego z najbogatszych panów Litwy i Rossyi... W pysznym pojeździe, otoczona zgrają sług, mogłam się przejeżdżać po tej samej ulicy, na której żebrałam przed kilku miesiącami. Cała ubrana w jedwab, świecąca od brylantów, przypatrywałam się owemu rewerberowi i owej ścianie, pod któremi w ówczas siedziałam! Igraszki trafu! kaprysy losu!... Namiętności ludzkie, mój drogi, są czarodziejkami tego świata.

— Szczęśliwy Senator, że cię potrafił zbocić — westchnął August.

— Był on rzeczywiście bardzo szczęśliwy, i wkrótce przekonałam się, że dzięki moim

poczciwym chęciom, małżeństwo to, które wszyscy mieli za głupstwo z jego strony, było rzeczą najmędrszą w świecie. Senator był bogatszy nad własne życzenia. Nigdy nie był w stanie wyekspensować swoich dochodów. Nie potrzebował więc nabywać nowych dóbr, i wyrozumował słusznie, że wdzięczność za ofiarowany majątek przywiąże do niego kobietę z dobrem sercem. Nigdy też nie miał powodu żałować, że zaślubił ubogą.

Powierzyłam tedy przyszłość moją z zaufaniem wdzięczności starca, i umiliłam mu ostatnie chwile życia. Umarł niebawem zostawiwszy mi cały majątek, a ja przysięgłam naówczas, że nie pójdę za mąż drugi raz chyba za tego, kto mi przyszedł w pomoc w najokropniejszej chwili mego życia. A on niewdzięczny! — dodała pani Augustowa wyciągając rękę do męża, — nic nie czynił ze swej strony, żeby się zbliżyć do kobiety, która go chciała uszczęśliwić miłością i bogactwem. Nie bywałeś nigdy mój drogi, w teatrze i na koncertach, a ja niewiedziałam twego nazwiska.

To mówiąc, młoda mężatka zdjęła ze szyi prześliczną rubinową kolię, na której zawieszony był jedwabny woreczek, i dobyła z niego złotówkę oprawioną w złotą obwódkę.

— Jestto twoja jałmużna, rzekła podając ją Augustowi. Na sam widok złotówki, dano mi owego pamiętnego wieczora trochę chleba, i zyskałam kilka godzin kredytu. Nazajutrz położenie moje o tyle się poprawiło, że mogłam zatrzymać twój pieniądz, i odtąd nie opuścił on mnie nigdy. Ach! ktoż opisze moje szczęście, gdy przed miesiącem obaczyłam cię na ulicy po raz pierwszy! Z jakimże zapałem kazałam zatrzymać konie! Rzuciłam się ku drzwiczkom mego powozu, i chwyciłam się pierwszego lepszego pozoru, aby cię zwabić do siebie! Jednej tylko rzeczy się obawiałam....

Bałam się żebyś niebył żonatym... W takim razie, nie byłbyś się nigdy dowiedział o tej całej historyi, a biedna pani Senatorowa, byłaby cię zbogaciła tajemnie, i pojechała do Rossyi, gdzieby się była zestarzała samotnie w swojej daczy pod Petersburgiem.

August opuścił ręce żony i haftowany muślin, który dotąd ściskał tak czule, a pochwycił ową złotówkę, przyczynę swej pomyślności i swego szczęścia.

— Widzisz — rzekła wówczas piękna wdowa — że nie jestem wcale czarodziejką, i że owszem ty sam dałeś mi mój talizman.

O NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Pozostaje nam literatura naukowa. Gdyby liczba jéj płodów odpowiadała zwyczajnym sposobem utworom literatury powieściowej, mielibyśmy przed sobą spory zbiór dzieł umiejętnych. Tymczasem na kilka różnych działów piśmiennictwa naukowego, na wszystkie rozliczne umiejętności pospołu, przypada zaledwie połowa tyle prac samodzielnych, ile na jedyną gałąź powieści. Do tego wiele ważnych publikacyj naukowych winna jest literatura raczej możnym albo przedsiębiorczym wydawcom, niż sobie samej. Wspomnimy o nich bliżej pod koniec, a tu zajmiemy się przedwszystkiem rezultatami istotnej twórczości umiejętnej.

Są one mniej obfite, niżbyśmy pragnąć i spodziewać się mogli. Uderza mianowicie iż pomiędzy różnemi działami nauk nie przeważa w tak wysokim jak zwykle stopniu literatura historyczna. Nieco dawniejszym pracom niepospolitej wartości, odznaczającym się jak np. hr. Dzieduszyckiego *Zbigniew Oleśnicki* nowością stanowiska, albo jak Ks. biskupa Łętowskiego *Katalog biskupów Krakowskich* bogactwem nowych dat, nie przeciwstawia chwila bieżąca nic równie znamienitego. Dziejopisarstwo obecne zatrudnia się z upodobaniem biografiami na mniejszy rozmiar. Julian Bartoszewicz ogłosił szacowny zbiór życiorysów pod napisem *Znakomici mężowie Polscy* w XVIII wieku. K. Wł. Wojcicki wydaje zeszytami *Cmentarz Powązkowski pod Warszawa*, zawierający ciekawe biografie osób wszelkiego stanu. Dominik Szulc opisał *Życie Mikołaja Kopernika*, przedstawione poprzednio przez Juliana Bartoszewicza w nowem wydaniu pism Kopernika. We Lwowie wyszły *Żywoty sławnych Ormian* przez Ks. Sadoka Barącza. Z ogólniejszego stanowiska traktuje o dziejach krajowych wydany w Poznaniu „Opis pierwszych ośmiu lat panowania Augusta II“, praca bezimiennego a młodego autora. Na stanowisku jeszcze nierównie wyższem, zbliżonem do napowietrznych krain marzenia, a temsamem wcale niepraktycznem i szkodliwem w umiejętności, stanał znany z tego rodzaju płodów p. Baltazar Pietraszewski w nowem dziełku *Słowianie byli świadkami ubóstwa i obrońcami pierwszej kultury europejskiej.* Do rzędu prac o starożytnościach krajowych przybyły dalsze części Aleksandra Wejnerta *Starożytności Warszaw-*

skich i pierwsze zeszyty ***Kościołów Warszawskich***, opisanych pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. P. Mączyński wydał należące tu poniekąd dziełko *Kilka podań i wspomnień Krakowskich* ze zbioru wiadomości o Krakowie, a młody archeolog krakowski p. Łepkowski wielą szacownemi artykułami po różnych pismach czasowych przygotowuje się do większego dzieła w tym zakresie.

Na zakończenie zaś pocztu najnowszych prac historycznych, przytoczymy dwa ciekawe pisma dwóch młodych, początkujących pisarzy, którymbyśmy bardzo chętnie jaknajświetniejszą wróżyli przyszłość, gdyby wróżby podobne nie wiodły zwyczajnie do zawodów. Sąto pp. Józef Plebański i Kazimierz Szulc, ucznie uniwersytetów berlińskiego i wrocławskiego, autorowie obszernych i bardzo starannie wypracowanych rozpraw historycznych w celu osiągnienia stopni uniwersyteckich. P. Plebański napisał w języku łacińskim *O zamiarze wyboru króla za życia Jana Kazimierza* (De successoris designandi cosilio vivo Joanne Casimiro Polonorum rege) z przydatkiem rozprawy *O poselskiem Liberum Veto w Polsce* (De nuntiorum Poloniae terrestrium „Libero Veto“), drukowane w Berlinie, str. 248. P. Szulc wydał w Poznaniu, podobnież po łacinie, *O pochodzeniu i siedzibach Illirów starożytnych* (De origine et sedibus Veterum Illiriorum) str. 80, rzecz dotyczącą początków historyi polskiej. Użyta do tych rozpraw łacina szkolna, takaż chęć popisywania sie wiedzą wszechstronną, nie w każdym razie potrzebną; również niepotrzebna skłonność do wyrokowania o wszystkiem bez zdolności podniesienia swoich wyroków nad poziom codziennych ogólników — oto pierworodne niedostatki obudwóch młodzieńczych płodów. Oba jednakże świadczą zarazem o najgorliwszem zamiłowaniu pracy, o szczerym zapale do umiejętnego zgłębienia rzeczy, o szlachetnej ambicyi dorównania wysokim wzorom, z jakiemi obeznała ich szkoła. Panowie Szulc i Plebański, uzbrojeni gruntowną nauką zasadnicza, wspierani radą i przykładem mężów jak Pertz, Stenzel, Roepell i inni, nawykli z młodu używać najwłaściwszych bo prawdziwie umiejętnych środków do zbadywania prawdy, stanęli od razu na tej ścieżce realnego widzenia i traktowania przedmiotu, której wszyscy prawie młodsi pisarze nasi, samoukowie w najsmutniejszem znaczeniu słowa, dopiero po długich manowcach na mglistem polu fantazyi i uczucia, musieli doszukiwać się z trudem, i po części dotychczas jeszcze szukają. Ztąd też nawet w najlepiej u nas uprawnej gałęzi nauk, t. j. w gałęzi historycznej, tyle jeszcze fantastycznych roi się dzisiaj teoryj, że przybycie każdego nowego pisarza o tak wczesnem usposobieniu realnem, jakie właśnie przynoszą pp. Szulc i Plebański, jest wielce pocieszającym wypadkiem.

W sferze innych umiejętności odznacza się świetnie obszerne dzieło p. Józefa Kremera pod dawno znanym tytułem *Listy z Krakowa*, w trzech tomach. Będąc w pierwszym tomie tylko nowem i poprawnem wydaniem początkowych listów dziesięciu, zawierających „wstępne zasady estetyki“, obejmują one w drugim i trzecim tomie wcale nowo i z niezwyczajnym wdziękiem skreślone „Dzieje artystycznej fantazyi.“ Jako praca wysoce u nas stojącego pisarza, jako owoc głębokiej nauki i rozwagi, celujący niezrównanie przystępnym a nadobnym wykładem, chyba jedynie nazbyt słodkawy tuowdzie i manierowny, stanowią ulubione *Listy* autora *Wykładu filozofii* główną naukową ozdobę bieżącej literatury. Obok nich słuszne tu miejsce małemu ale również cennemu pisemku Józefa Gołuchowskiego pod tytułem *Światowość w stosunku do obyczajów uważana*. Znany i szanowany oddawna autor głośnego niegdyś pisma o *Filozofii w stosunku do życia*, później innemi pracami i obowiązkami zajęty, przychylił się ostatniemi czasy do skreślenia na cudze prośby wspomnionej tu broszury, a dzięki tej uprzejmości autorskiej otrzymaliśmy bardzo szacowne dziełko, łączące w sobie niezwyczajnym sposobem szlachetną nadobność wykładu z głęboką znajomością życia i świata, serdeczną miłość ludzkości z zanadto może idealnem widzeniem rzeczywistości, ale temsamem właśnie zbawienniejsze od pospolitych wylewów żółci w satyrze, które koniec — końcem oswajają nas tylko z widokami szpetnemi, podczas gdy takie obrazy idealne uczą nas rzeczy nierównie trudniejszej a pożądańszej, t. j. widzieć i poznawać istotne acz rzadkie piękności życia.

Odległą co do przedmiotu, lecz blizką obudwom wyszczególnionym tu pismom co do przystępnego i zajmującego wykładu, jest praca p. Zeisznera pod tytułem *Geologia do łatwego pojęcia zastosowana*, ogłoszona świeżo w Krakowie. Nakładem Zawadzkiego w Wilnie wyszedł piąty tom ważnego dzieła Cuviera *Historya nauk przyrodzonych*, przełożona i dodatkami do piśmiennictwa polskiego odno-

szącemi się wzbogacona przez Gustawa Belke i Aleksandra Kremera. Z Poznania otrzymaliśmy czwarty i ostatni tom *Zbioru wiadomości do historyi sztuki lekarskiej* w Polsce od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, przez Ludwika Gąsiorowskiego. Do terminologii przybyło *Słownictwo chemiczne polskie* przez dr. T. T. Mateckiego w Poznaniu.

Zakończymy wzmianką o książkach, w których wydaniu literatura tylko pośredni ma udział. Należą tu przedwszystkiem kosztowne edycye dawniejszych dzieł, podjęte staraniem możnych miłośników umiejętności. Taką zasługą nieśmiertelnego Ossolińskiego i pozostałego po nim Zakładu wyszedł w powtórnej i poprawnej edycyi pierwszy tom wielkiej pracy Lindego. Tytus hr. Działyński wydaje dalej zbiór Aktów Tomickiego, i wiele innych przygotowując publikacyj, ogłosił w spaniałem wydaniu Długosza *Spory i zajścia między Polską a zakonem Krzyżackim* (Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum). Hrabia Aleksander Przezdziecki i baron Edward Rastawiecki wydali kilka dalszych zeszytów swojej przepysznej edycyi *Wzorów sztuki średniowiecznej w Polsce*, którym nawet bez znacznego spółuczestnictwa przedpłaty nię daliby zapewne upaść znani z wielu innych zasług wydawcy. Owocem szlachetnej składki prywatnej (jak o tem doniosły pisma z Warszawy) jest także okazałe wydanie pism Kopernika, uskutecznione w Warszawie staraniem J. Baranowskiego, w języku łacińskim i polskim, pod tytułem: „Mikołaja Kopernika Toruńczyka o obrotach ciał niebieskich ksiąg sześć; nadto opowiadanie pierwsze J. Joachima Retyka, tudzież różne pisma pomniejsze M. Kopernika teraz zebrane, i życiorys jego“ — w wielkim arkuszowym formacie, z wielą rycinami na drzewie i na blasze, stron około 700. Hr. Eustachy Tyszkiewicz przysłużył się publikacyą pod tytułem *Karola X Gustawa króla Szwedzkiego trofea i sprzęty*, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w r. 1656, opisane i ogłoszone (w języku polskim i francuzkim) przez hr. Eust. Tyszkiewicza, członka korrespondenta królewskiej akademii nauk wyzwolonych, historyi i starożytności w Sztokholmie i t. d., z chromolitografiami Fajansa, w Wilnie. Hr. Wiktor Baworowski wydał we Lwowie wynalezioną przez siebie rzadkość bibliograficzną, *Rozmyślania o śmierci i nieśmiertelności*, z angielskiego przetłumaczone przez ks. Wiktoryna Anatazyusza w r. 1648.

W drugim rzędzie przychodzi wymienić niemniej ważne przedsiębiorstwa księgarskie, stojące wszelako nie tyle ofiarą przedsiębiorców, ile raczej skorym udziałem publiczności, bez którego publikacye takie bardzo rzadko doszłyby kresu. Naczelniczą pomiędzy niemi rozpoczęte przez Wolfa petersburgskie wydanie *Dziejopisów krajowych*, znanych dotąd jedynie w języku łacińskim i dawno wyczerpanych edycyach, a teraz wychodzących na świat w starannym przekładzie polskim i ozdobnej powierzchowności. Okazały się w ostatnich kilkunastu miesiącach: Wawrzyńca Rudawskiego *Dzieje panowania Jana Kazimierza od 1648 do 1660*, przełożył i uzupełnił Włodz. Spasowicz, 2 tomy. Jakóba Sobieskiego *Pamiętnik wojny Chocimskiej*, ksiąg troje, przełożył i uzupełnił Wł. Syrokomla. J. D. Solikowskiego *Pamiętnik rzeczy polskich od 1572 do 1590*, przełożył Wł. Syrokomla. J. M. Fredro *Dzieje pod Henrykiem Walezym*, przełożył i uzupełnił Wł. Syrokomla. Łasickiego i Góreckiego opisy wojen wołoskich, przełożył Syrokomla. Świętosława z Bożejowic Orzelskiego *Bezkrólewia ksiąg ośmioro od 1572 do 1576*, przełożył i uzupełnił Włodzimierz Spasowicz, tomów 2. Stanisława Łubieńskiego *Pisma pośmiertne* t. j. Droga do Szwecyi r. 1593 i *Rozruchy domowe od r. 1606 do 1608*, przełożył i wiadomością o życiu i pismach autora pomnożył A. B. Jocher. Widzimy z samego poszczególnienia treści, jak wiele szczegółowej wiedzy historycznej, zawierającej się w wydanych dotąd przez p. Wolfa *Dziejopisach krajowych*, rozchodzi się dzięki jego przedsiebiorstwa w publiczność. On też wydał w Petersburgu *Historyą powszechną kościoła* przez Jana Alzoga, w tłumaczeniu przejrzanem, poprawionem i uzupełnionem przez ks. Stanisława Krasińskiego, kanonika wileńskiego, w 3 tomach. Orgelbrand w Warszawie wydrukował dalsze (7, 8 i 9) tomy niemniej szacownego przekładu *Dziejów powszechnych* przez Cezarego Cantu. Sanocki drukarz Pollak, przy pomocy p. K. J. Turowskiego, rozpoczął 1000-zeszytową *Bibliotekę Polską*, zawierającą dotąd w sześćdziesięciu kilku zeszytach pisma Górnickiego, Skargi, Bielskiego, Birkowskiego, Paprockiego i t. p. PP. Piller i Stupnicki we Lwowie drukują *Bibliotekę Lwowską*, rozpoczętą obrazem dramatycznym p. K. Sadowskiego *Odsiecz Wiednia*. P. Jabłoński we Lwowie zapowiedział wydanie *Zbioru znakomitych pisarzy krajowych*, pomiędzy którymi znajdą się ś. p. Jó-

zef Borkowski, Ks. Karol Antoniewicz, Tymon Zaborowski i inni.

Wszystkie te przedsiębiorstwa nie mogłyby się utrzymać, gdyby im nie podała ręki i nietaniego czasem grosza — publiczność. Utrzymanie się przedsiębiorstw dawnych, pojawienie się coraz nowych, jest najlepszym dowodem, że publiczność odpowiada potrzebom piśmiennictwa. Obyż i piśmiennictwo nie zawiodło nadziei i potrzeb rozumnej publiczności. Oby nie zawiodło ich zniżeniem się do folgowania żądaniom płochym, acz wielce głośnym i tłumnym. Nie imto zaiste dyktować prawa w rzeczach literatury. Gdzie one górę wzięły, tam skończyła się już literatura a zaczęło się księgoróbstwo. Tymczasem nawet w chwili obecnej, która przecież nie grzeszy ani literaturą bez uczucia swojej godności, ani publicznością bez uwagi na moralną wartość swoich wymagań, trudnoż dostrzedz pojedyńczych skazówek, jak daleko doprowadziłby mogło folgowanie prądowi? Oto np. zjawiła się w Sanoku ku powszechnej radości *Biblioteka Polska*, zagajona pismami Górnickiego, Skargi i całej reszty autorów literatury Zygmuntowskiej. Publiczność niespodziewanie skorym udziałem wsparła *Bibliotekę*, lecz nie smakując jakoś w pisarzach Zygmuntowskich, żąda po swojemu czegoś innego, żąda powieści. Wydawca czuje się w obowiązku czy też potrzebie posłuszeństwa, stara się pojednać sprawę literatury z wymaganiem chciwego fraszek ogółu — i owo ostatnie zeszyty *Biblioteki Polskiej* zawierają pod jedną i tąższamą okładką, w jednym i tymsamym zlepku introligatorskim, ustępy z Kroniki Polskiej Bielskiego i tłumaczone z francuzkiego powiastki p. Mery. Znaczy to „Bogu świeczkę i diabłowi ogarek“ — ale nie jestto ani po chrześciańsku ani po literacku. Ktoż nas bowiem upewni, że za przykładem zacnej *Biblioteki* Sanockiej, przy coraz żywszem powieścio-żądném parciu ogółu, jakaś inna „Biblioteka Zygmuntowskich pisarzów“, przez mniej zacnych i światłych wydawców prowadzona, nie oświadczy w połowie publikacyi, iż uwzględniając życzenia „szanownych prenumerantów“ zaprzestaje wydawać dalej „nieprzystępne“ ogółowi dzieła poważne, i pod tymsamym tytułem drukować będzie nadal same przekłady powiastek zagranicznych? Coż w szczególności musiałyby robić dzienniki, które dzisiaj tyle piór i zdolności wzięły w swą służbę, a którym jeszcze bardziej niż *Bibliotece* zależy na codziennym zbyciu towaru, gdyby im nie wolno było zamieszczać nic innego w swoich kolumnach, jak tylko co dogadza chwilowemu upodobaniu prenumerantów? Coż w takim razie mieliby robić wszyscy prawdziwi t. j. wszyscy niezawiśli pisarze, czyto powieściarze, czy historycy, czy moraliści? Woleliby oczywiście nie pisać, ustępując bez żalu księgorobom. Ale nie tak jeszcze nisko pochyliło się słońce literatury. „I jutro jeszcze dzień“ — mówi przysłowie duńskie, a w następnem za kilka miesięcy sprawozdaniu mamy nadzieję donieść o niejednym prawdziwie samodzielnym utworze. Znane już w części niektóre publikacye tej przyszłej pory, jak np. Kraszewskiego *O powołaniu autorskiem*, *O pojmowaniu przeszłości* i t. p., dają nam tego rękojmię.

Siedmnastoletni pogromca Tatarów pod Kałuszem. Wiadomo jest powszechnie, jak długo przeciągała się małoletność w dawnej edukacyi domowej w Polsce. Do trzeciego krzyżyka zostawał przejrzywający młodzieniec pod rygorem ojcowskim, w ryzie surowego posłuszeństwa względem starszych. Ale mniemamyż, iż ta długa szkoła karności przeszkadzała rozwinięciu się charakteru, osłabiała energie ducha. Zapomnielibyśmy w takim razie starą lecz niewątpliwą prawdę, że imlepiej nauczył się ktoś słuchać, temlepiej będzie umiał sam rozkazywać. Przed starszym bądźto latami bądź stopniem, znał się taki przejrzały młodzian do kornej uległości, lecz gdzie pewien szczególny zbieg rzeczy nakazał jemu samemu być starszym, tam żaden z wczesnych wyzwoleńców dzisiejszych nie sprostałby mu ani głową ani ramieniem. Przypomina się nam ciekawy w tej mierze przykład, godny powszechniejszej pamięci. Jeśli tylokrotnie wspominany Pico de Mirandola słynąć może z przedwczesnej uczoności, toć i siedmnastoletni zwycięzca Tatarów a bezpośrednio potem dyplomata w poselstwie do Krymu i Nogaju, nie o wiele mniejszej wart chwały. Byłto niejaki Jan Zbąski, za czasów króla Zygmunta Starego. Nie piszą o nim wprawdzie kroniki tamtoczesne, nie opiewał go żaden poeta, ale kilka treściwych słów poświęconego mu pisma kancelaryi królewskiej powinno zachować go na zawsze od zapomnienia. Dnia 18 czerwca r. 1559 wydał król Zygmunt Stary dokument, uznający go pełnoletnim przed osiągnieniem przepisanego statutem wieku. Powiedziano tam pomiędzy innemi: „Ponieważ przerzeczony Jan z Zbąszyna, licząc dopiero lat siedmnaście, poraził walecznie i szczęśliwie Tatarów pod Kałuszem, a nadto wysłany w naszem imieniu od wielce miłego nam hetmana polnego do carzyków Nogajskich i Przekopskich, wywiązał się wiernie z poselstwa, przeto ze względu na jego czyny, poczytujemy go wyższym nad jego lata, i mocą królewskiej powagi naszej uznajemy go zdolnym do piastowania wszelkich urzędów i do zawiadywania wszystkiemi sprawy swojemi.“

Miłośnictwo botaniki Wielkiego księcia Karola Augusta Wejmarskiego. Pierwszy kaznodzieja nadworny pastor Röhr zwykł był co soboty przechadzać się rano po książęcym parku w Wejmarze, aby śród porannej ciszy podnieść ducha i przygotować się do jutrzejszego kazania. Pewnego

razu spotkał się przy wyjściu z Wielkim księciem, który go uprzejmie zagadnął, a w toku rozmowy zaprosił na śniadanie. Przed śniadaniem w cieplarni oprowadzał Wielki książę gościa swojego po całym ogrodzie, pokazywał mu wszystkie piękniejsze kwiaty i rośliny, i okazał przytem tak głęboką i rozległą znajomość botaniki, że pastor nie posiadał się z zadziwienia, a przy śniadaniu nie mógł wstrzymać się od zapytania, co jego królewską mość do tak wytrawnej i głębokiej nauki zniewoliło. „Chętnie ci na to odpowiem, mój kochany kaznodziejo;“ – odparł z uśmiechem Wielki książę. — „Gdy w roku 1806 srogie nieszczęścia dotknęły ojczyznę naszą, doznałem ze wszystkich stron tyle zdrady i fałszu, tyle obłudy i przewrotności, że doprawdy zwątpiłem już o ludziach. W mojej rozpaczy obudziło się we mnie dawne zamiłowanie do roślin i kwiatów, i całą duszą oddałem się nauce botaniki. Brzydząc się ludźmi, szedłem do moich kwiatów, obcowałem i rozmawiałem z niemi, a one nie zdradziły mię nigdy.“

Starodawne nadania ziemskie. W poemacie *Zgoda senatorska* czytamy:

„Był rycerz Gozdawita, co granicy stróżył,
I w bojach tak się pięknie ojczyźnie zasłużył,
Że król mu tyle ziemi nadał od granicy,
Ile w koło objedzie koniem w jednej dobie.....

Byłoto bardzo często używanym sposobem nadawania ziemi w czasach feudalnych, we wszystkich krajach europejskich. Król francuzki Klodwik udzielił roku 496 pewnemu wassalowi Janowi dyplom, którym w dowód swojej szczególnej łaski nadał mu tyle ziemi, ile w jednej dobie konno objechać zdoła. Tensam król Klodwik nadał poźniej innemu magnatowi tak wielki obszar ziemi, jaki mógł objechać konno podczas wypoczynku króla w południe. W roku 676 darował król Dagobert trzeciemu wassalowi całe miasto wraz z przyległym obszarem ziemi, a gdy obdarzony zapytał króla jak daleko wzdłuż i w szerz sięga nowa jego posiadłość, odrzekł monarcha: „Wszystko co objedziesz dokoła zanim wyjdę z łaźni i ubiorę się, będzie na wieki twoją własnością.“ Istnieją tradycye podobne i w Szwecyi i w innych krajach. W Niemczech darował Ludwik Pobożny Henrykowi Gwelfowi tak wielką przestrzeń ziemi, jaką Henryk podczas poobiedniego snu królewskiego zdołał oznaczyć bruzdami pługa. W roku 1205 przyrzekł król Waldemar duński niejakiemu hrabi Andrzejowi tak wielką rozległość ziemi, jaką on podczas kąpieli królewskiej objedzie na niedorosłem źrebięciu. Andrzej jechał tak raźnie, i tak wielką w biegu ogarnął przestrzeń, że dworacy naglili króla aby cożywo wychodził z łaźni, jeśli nie chce postradać zpół królestwa. Według starej tradycyi darowała pewna niemiecka hrabina mieszczanom Bremeńskim tyle przyległej ziemi, ile proszący ją właśnie o jałmużnę kaleka, chromy na obie nogi, obieży w jednej dobie. Kaleka wytężył wszystkie siły, i obszedł tak znaczny obszar, że mieszczanie mogli na nim przez wszystkie wieki następne wypasać bydło swoje.

Eskimo poeta miłosnym. Mieszkaniec Azyi południowej, npajany widokiem najbogatszej w cuda natury, przystraja swoje miłosne wynurzenia w obrazy, porównania i przenośnie, obrażające częstokroć smak nasz przesadą i napuszystością. Dalekim od podobnej przewiny jest wychowanek lodowatej północy, prostoduszny Eskimo. Ubóstwo i jednostajność otaczającej go przyrody nastręcza jego fantazyi bardzo szczupły zasób prostych i skromnych obrazów, z których on czasami bardzo szczęśliwy w swoich pieniach miłosnych robi użytek, nagradzając prawdą i prostotą swoich opisów, co im zbywa na górnolotności fantazyi. „Pięknaś, o luba,“ — spiewa on np. o kochance — „jak wierzba, gdy w nowe przyodziewa się liście. Płeć twoja lśni uroczo jak śnieg góry Najarsuak. Palce twe białe jak zęby łani. Uśmiech twój czarowny jak lód topniejący.“ Mogłoby wzniecić niejakie podejrzenie, iż zakochany poeta milczy zupełnie o zębach kochanki, i do nich raczej nie przyrównywa białych jej palców. Lecz jakże pięknem jest porównanie ostatnie! Przypomina ono budzenie się natury, której pierwsze tchnienia wiosenne objawiają się najprzód tajaniem lodów. Nie jest to obraz bezpośrednio przed oczy nam postawiony, lecz uśmiechający się do nas z dalekiej acz pełnej uroku odległości. Czyż owa „cyprysowa smukłość kibici, owe siecie czarnych jak heban włosów osnuwające duszę — owe śmiertelnemi grotami strzelające gazellowe oczy kochanki“, o których spiewają poeci oryentalni, miałyby większe sprawiać wrażenie?

Strachy w Lignicy. Jeśli nawet większe miasteczka nie są wolne od wiary w strachy i upiory, czegoż dziwić się zabobonności ludu wiejskiego? W Lignicy zbierają się temi czasy tłumy ludu co wieczór przed dawnym cmentarzem św. Piotra i Pawła, aby na własne oczy ujrzyć choć jednego z broiących tam upiorów. Na miejscu bowiem gdzie teraz stoi szkoła, były dawnemi czasy groby. Odkopano je przy budowie szkoły, i przeniesiono kości umarłych na cmentarz tak zwany simultański przed bramą wrocławską. Obrazili się umarli do tego stopnia naruszeniem swojego pośmiertnego spokoju, że od tego czasu tysiącznemi sposoby starają się okazać swoją niechęć, i wywrzeć zemstę na ludziach. Zaraz o zmroku mają one pojawiać się na cmentarzu, napastować przechodni, i trwożyć sąsiednich mieszkańców. Najwięcej jednakże cierpią od nich profesorowie, mieszkający w pobliżkiem zabudowaniu szkolnem. Rozgniewane strachy wyrządzają im najnieznośniejsze przykrości, a nieraz gonią ich całemi nocami to na dół to na górę po wschodach. — Nie masz dziwu na świecie, w któryby nie uwierzono.

Przypowieści. — Sześć rzeczy, które sie ludziom rzadko darzą. Ranny deszcz, babi taniec, piątkowe spiewanie — Sen, trunek poobiedni, niedzielne śniadanie.

Ani na wsi, ani w mieście — Nie trzeba wierzyć niewieście.

Bez lejca na wóz, bez wiosła na wodę, bez ostróg na konia nie wsiadaj.

Koń bosy na mróz — But dziurawy na błoto — Tępa siekiera na drwa — Niepewne są.

Śmierć życzyć dla spadku — Na złe radzić dla datku — Krzywdzić dla dostatku — Żadnemu do końca z pociechą to nie przyjdzie.

Kto miłuje rzewnie — To szaleje pewnie — Kto się kocha powoli — To go głowa nie boli.

Jedna baba kamień do studni wwali, a dziesięciu go chłopów nie wyciągnie.

Miejska przyjaźń, konwie na piwo, a rożna na pieczenia, nie bronić.

Miłość panieńska, szczęście w karty, łaska pańska i krasa róży nie długo trwałe rzeczy.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowéj.*